Tom XX. Nr. 5

11. Lutego 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Brat i siostra.

Stała w Leszczynie na uboczu chata tak schludna i dostatnia jakby zamożnego kmiecia, a jednak właścicielem jej był wyrobnik nie mający ani kawałeczka gruntu. Wewnątrz ściany tam były gładkie, białe, okna duże, wymyte, oszklone, na ścianach obrazy świętych w pięknych ramach; nic też nie można było zarzucić i sprzętom bo wszystkie lśniły białością, w kącie stał piec polski, ogromny, ale także czysto utrzymany, słowem wszędzie widać tu było troskliwą rękę dbałej o porządek gospodyni.

Ale gospodyni nie było w domu w tej chwili. Był tylko gospodarz, młody wieśniak imieniem Ignacy, który siedział na ławie z głową na ręku podpartą, stroskany i smutny, a obok niego żyd, na którego czole natura wypiętnowała czem był, toż na pierwszy rzut oka można było poznać że to lichwiarz.

— Nie żądam kapitału, mówił żyd, wiem że nie macie tyle abyście mogli oddać wszystko, ale procent trzeba płacić.

— Procent! procent! zawołał Ignacy; ileż to już poszło na niego... ile jeszcze pójdzie!

— Aj waj! co mi za suma!

— Nie wielka temu co bierze, ale ciężka temu co daje, co na nią pracuje, powie Ignacy.

— Ny, a czemu wam siostra nie pomaga? czemu i ona nie chodzi na zarobek?

Ignacy zachmurzył się:

— Biedna dziewczyna, ona nad siły pracuje, ale miałżebym ja sumienie wydzierać jej to co zarobi? Wszakże od śmierci rodziców jestem jej opiekunem.

— Aj waj, a mieliście sumienie długi robić? Nie trzeba było pić .. alboż to nie wiecie co wódka kosztuje?

— Stało się — już mię nie skusicie więcej; ale dajmy temu pokój, a przystąpmy do rachunku.

Żyd wyciągnął papier i ołówek, mruczał, pisał, sumował, i dalejże w targ z Ignacym. Nie będziemy powtarzać tej ohydnej rozmowy, przeplatanej gęsto żydowszczyzną. Szło tam o procent tylko, ale ten procent dwukrotnie przewyższał kapitał a dopisany do niego, powiększył dług w trójnasób, tak, że z kilkunastu reńskich zrobiło się pięćdziesiąt.

Skończył się wreszcie obrzydliwy ten obrachunek i Abramko zabrał się do wyjścia. Na progu zetknął się z świeżą jak kalina dziewczyną — to Anusia, siostra Ignacego która właśnie wracała z jarmarku.

Anusia podejrzliwem okiem zmierzyła żyda od stóp do głów. On nasunął kapelusz na oczy i poszedł w swoją stronę, a ona stała jeszcze w progu i niespokojnie poglądała za nim.

— Czego on tu chciał? — zapytała wreszcie brata, wchodząc do izby.

— Ot, wstąpił przechodząc, odpowiedział Ignacy.

— Obeszłoby się, rzekła z niechęcią i jakby niedowierzaniem, ale wnet uspokoiła się upewniona przez brata że nic

takiego nie zaszło co by ją mogło przestraszać. Teraz rozjaśniła czoło, pobiegła ku bratu i stanęła przed nim.

— Masz tobie, zawołał Ignacy; znowu nowe korale! Toż już trzecie... wieleżeś do tamtych dopłaciła?

— Wszystko com miała, całe dziesięć reńskich — ale tam były drugie, sto razy piękniejsze, tylko że kupiec chciał abym dopłaciła dwadzieścia reńskich. Ach bracie, co to były za korale! Mówię ci, jak orzechy! Rozpłakałam się też w sklepie jak dziecko żem ich dostać nie mogła, ale kupiec mię uspokoił, bo powiedział że tamtych nie sprzeda, jeno schowa dla mnie... toż jak sobie znowu uskładam dziesięć reńskich..

— Wstydź się Anusiu, ofuknął ją Ignacy, wstydź się i tego żeś płakała i tej chętki do strojów. Teraz takie ciężkie czasy, a ty zbytki robisz; to grzech!

Anusia zdjęła korale ze szyi, zwiesiła smutno głowę i dwie łzy stoczyły się po jej rumianych jagodach.

— To grzech, rzekła szlochając, to grzech, choć za moje własne pieniądze z takim trudem zapracowane.. o nie, to nie grzech; nie zganiłaby mię matka za ten zbytek, boć korale to nie wstążka ani żadna szmatka.

— Cicho, cicho, powie Ignacy łagodnie, już rób co chcesz a nie płacz, bo widoku twoich łez znieść nie mogę.

— Kiedy tak, to co innego, odpowie Anusia obcierając oczy. Ja myślałam że już mi nie pozwolisz doskładać tych dziesięciu reńskich.

Od tego czasu Anusia pomimo licznego i ciągłego zatrudnienia w domu, tak pilnie chodziła na zarobek że nie spełna w przeciągu dwóch miesięcy uskładała dziesięć reńskich. Pewna już przyzwolenia brata, nic mu nawet nie wspomniała gdy szła do miasta ze swemi koralami i pieniądzmi. Kupiec dotrzymał słowa, dołożywszy więc żądaną kwotę otrzymała tamte które tak się jej podobały że sama myśl o ich utracie do łez ją pobudzała.

Łatwo pojąć z jaką radością powracała do domu. Lecz jakież było jej zdziwienie gdy w izbie prócz głosu brata usły-

szała i obcy. Któżby to był? To żyd Abramko, który przyszedł upominać się o swój procent. Anusia zdjęta ciekawością, bo ciekawą była niesłychanie, podsłuchiwała chwilkę podedrzwiami a dowiedziawszy się o wszystkiem skoczyła jak oparzona.

— Więc to procent — procent pochłania cały zarobek mojego brata! O Matko Boska Częstochowska ulituj się nad nami! Nie, nie, tak być nie może, trzeba temu koniec położyć.

Czekała aż Abramko wyszedł. Wówczas znowu zmierzyła go pogardliwie ale tym razem już nie mogła nad sobą panować i pięść dziewczęcia byłaby niezawodnie spadła na kark lichwiarza gdyby się nie był zręcznie uchylił.

Łzami zalana weszła do izby, ale brat był jakoś zakłopotany, nie uważał że siostra płacze i nie zapytał o przyczynę. Nie pokazała mu więc nowych korali lecz schowała je w milczeniu i on też wyszedł niebawem.

Anusia długo uspokoić się nie mogła; przeróżne uczucia miotały jej sercem, a gdy wieczór udawała się na spoczynek, dłużej jak zwykle i goręcej pomodliła się przed obrazem Bogarodzicy.

Minęło kilka miesięcy.

— Cóż Anusiu? nie wymieniasz już korali? zapytał Ignacy pewnego razu siostrę. Dobrze robisz, bo to niepotrzebne. A ileżeś już uskładała?

— Nie ma teraz co składać, odpowie Anusia, dla tego też i korali nie wymieniam.

— Zkądżeś dawniej składała? powie Ignacy ze zadziwieniem. Ej Anusiu, ty chyba na jadło za dużo wydajesz . . . Wiem ja że to tylko dla mnie, bo ty się byle czem obejdziesz, ale i ja przestanę na kawałku suchego chleba . . . my biedni wyrobnicy, trzeba się nam ograniczać.

— O! co z tego to nic nie będzie; zawoła Anusia.

W tej chwili Ignacy stoczył ze sobą straszną walkę.

— Mój Boże! myślał sobie, jakże jej to powiedzieć? Daj! okropne słowo, nie podobna go wykrztusić . . . o nie, za nic

w świecie. Ach, ale i ona przecie niedobra siostra, kiedy się nie domyśla niczego . . .

Po chwili zbliżył się do niej, wziął ją za rękę i rzekł z przymileniem:

— Anusiu, ja mam dług, procent okropny płacę . . . rady sobie dać nie mogę... pożycz mi, wiele tam masz pieniędzy... ja ci oddam.

Anusia zarumieniła się, poszła do skrzynki, wyjęła jakiś papier i podała Ignacemu.

— Wexel! mój wexel! Coż to znaczy? Anusiu, co ty zrobiła?

— Com zrobiła, tom zrobiła, ale czemuś ty mnie odrazu nie powiedział?

— Anusiu, zkąd ty wzięłaś pieniędzy? pytał Ignacy, patrząc siostrze bystro w oczy. Pokaż mi twoją przyodziewę.

Anusia otwarła skrzynkę.

— Gdzie korale?

Nie odpowiedziała ani słowa tylko spuściła oczy.

— A więc korale poszły do żyda... twoja krwawa praca, na zapłacenie mojego długu?.. o moja siostro droga, o ileż ty lepsza odemnie . . . Ale ja ci to oddam, Bóg widzi. Oto masz dwadzieścia reńskich, resztę doskładam powoli i będziesz miała korale moja droga, jeszcze piękniejsze jak tamte.

Zakończył tę rozmowę uścisk serdeczny, który stał się zadatkiem nowego przymierza braterskiej miłości. A w najbliższy dzień targowy Anusia poszła z Ignacym do miasta i dołożywszy do otrzymanych od brata pieniędzy jeszcze własnych kilka reńskich, kupiła sobie parę sznurków korali z wymową że je później za stósowną dopłatą będzie mogła za okazalsze wymienić.

Stanisław Krakowczyk.

. . . .

Siejba.

Wieśniak w polu orze, sieje,
Ziarno w ziemię rzuca w wiośnie,
W Bogu tylko ma nadzieję
Że mu w dobry plon urośnie.

Gdy nadejdzie lato Boże
Słonko ciepłem swem dogrzewa,
A na polu rośnie zboże
I tak ładnie już dojrzewa.

Jak na Boże zawołanie
Z śpiewem hożym żeńców koła
Snopy ścielą się na łanie
I zapełnia się stodoła.

I tak wszystko po dożynku
Już ukończa się porządnie —
Za to w zimy odpoczynku
Głód i nędza nie zaglądnie.

Chłopczyk mały w szkole siedzi
A książeczkę w dłoni trzyma
I literki na niej śledzi,
Ciekawemi już oczyma.

Rośnie chłopczyk, żywo rośnie,
Już na książce swojej czyta —
Dobry zasiew w życia wiośnie —
Już się pisać nawet chwyta.

I wyrasta już na męża,
Co mu obcą nie jest wiedza
Łatwo trudy przezwycięża
I rozumem już wyprzedza.

Czy na piśmie, czyli w słowie
Pożytecznym jest gromadzie,
Bo mu jasno świeci w głowie
Rozum w czynie jak i w radzie.

Siejcie ziarno w życia wiośnie
Siejcie wiedzę, bo za młodu
Co zasiane to wyrośnie
Na pożytek dla narodu.

Siejcie z własnej dobrej woli
Ziarno wiedzy w młodej głowie,
Miłość, cnotę w młodej roli —
Święte ziarno w Bożem słowie!

Józef z Medyki.

Kazimirz Korsak.

(Prawda historyczna.)

Będzie temu lat trzysta. Na dziedzińcu przed dworem pana Kazimirza Korsaka, wielkiej fortuny dziedzica, stali dwaj mężczyzni, jeden stary, drugi młody i tak rozmawiali ze sobą:

— Doprawdy — mówi młody — to już rzeczywiste są dziwy, co się z naszym panem dzieje! Taki nie swój, taki zawsze zrzędny, takby gdzieś chciał chodzić a nigdzie miejsca sobie znaleść nie może! Mój Boże! a toć to bogacz nie lada, na niczem mu nie zbywa; ma tylko jednę siostrę i nikogo więcej, o cóż sobie tedy łamać głowę? . . A lepiej, żeby siedział spokojnie:

— Ależ mój kochany! — odpowie drugi — to rzecz wcale inna. Jak słyszałem pan nasz ma wielki pociąg do pogardy świata i jak sam mówił, od młodości czuje w sobie skinienia Boże, aby jako prosty człowiek w wiejskim stanie szukał zbawienia duszy swojej. Z tego to powodu był w obozie, bił się na wojaczce chcąc na sławę imienia swojego zapracować, ale i tam nie znalazł spokoju; wnet do domu wrócił. Biédny ten pan! ciągle walczy ze sobą, opiera się widocznie woli Bożej; odwodzi go znakomitość rodu, delikatne wychowanie, nadzieja honorów a straszy poniżenie siebie, niewygoda życia i trudna praca. . . .

— Ale za to czeka go w życiu łaska i miłość Boska a po śmierci pewne zbawienie — rzeknie młody.

— Ha! być może! — dodał stary,

W tem wyszedł pan Korsak i usiadł sobie na ławeczce. Podumał chwilę i zaraz odszedł.

— Widzisz jaki niespokojny! — przemówił młody mężczyzna — biedak nie wie co ze sobą zrobić.

— Ha! kiedy już taka wola Boża, powie stary — to my temu nic nie poradzimy.

Pomówili jeszcze słów kilka i odeszli.

Tymczasem pan Korsak wszedłszy do komnaty, ukląkł przed ołtarzem Trójcy Przenajświętszej, modlił się długo i w pokorze błagając Boga o zwycięstwo nad sobą. Czyń panie! — mówił w modlitwie — co ci się podoba, ja się zgodzę z wolą Twoją!

Naraz otwierają się podwoje, wchodzi posłaniec i oznajmia, że pan pułkownik wzywa pana Kazimierza, aby czemprędzej wyruszył na podjazd, bo nieprzyjaciela co tylko nie

widać. Jak potem tak i wówczas każdy pan polski miał na pogotowiu potrzebne do boju rzeczy, zbiera się więcpan Kazimirz a niespodziewając się żadnego niebezpieczeństwa ze strony nieprzyjaciela, rozkłada się ze swymi ludźmi w pewnej wsi i bezpiecznie zasypia. Aż tu w głęboką noc wpada nieprzyjaciel. Dano znak trwogi, wszyscy zerwali się coprędzej, budzi się także Pan Kazimirz i z pośpiechu w ciemnej chacie zamiast swojej, chłopską na siebie wdziewa suknię; wypadł na nieprzyjaciela i szczęśliwie gromi. Już świtać poczynało, kiedy po sobie spojrzał pan Kazimirz. Widząc się w prostej siermiędze a nie w swojej sukni, zdawało mu się że słyszy głos wewnętrzny:

— Oto tak cię Bóg stroi i to jest suknia, w której cię chce zbawić.

Pan Kazimirz począł rozważać nad swoim stanem, a nie chcąc dłużej sprzeciwiać się woli Boskiej jedzie czemprędzej do domu, konie, sprzęty, suknie rozdaje i wgłęboką idzie pustynię, aby tam wieść życie pustelnicze i w modlitwie szukać pokrzepienia.

Jakoż rzeczywiście był tam czas niejaki, żył tylko samemi ziołami i korzonkami, pijąc kryniczną wodę. Jednakże i tam był niespokojnym, bo mu się ciągle zdawało, że jeszcze nie zupełnie usłuchał woli Bożej. Idzie więc do wsi niedalekiej, zarosły na twarzy, wycieńczony i u chłopa przyjmuje służbę. Wszystkie na siebie przyjęte ciężary z taką ochotą i wiernością wykonywuje, jakby do tego od urodzenia był przywykł.

Gospodarz uważając skrzętność Kazimirza, przez wdzięczność za jego pracę chciał mu ofiarować córkę swoję jedynaczkę a w posagu całe dziedzictwo swoje.

Ale na to rzekł Kazimirz:

— Tego w żaden sposób uczynić nie mogę, choć byście mię najbardziej znienawidzili.

Po pewnym atoli czasie, aby tem większe nad sobą odnieść zwycięstwo, przeniósł się do innej wioski a właśnie do tej, która niegdyś jego dziedzictwo stanowiła.

W wiosce tej mieszkała jego siostra. Nie poszedł do dworu, ale przybył do poddanego dawniej swojego i przyjął u niego obowiązki parobka. Robił wszystko z największą gorliwością, choćby też było co i najtrudniejsze. Poprzestawał chętnie na lichej strawie, nigdy się nie użalił, nigdy nie zapłakał. Nieraz chodził na pańszczyznę do dworu, tam bili go dworzanie, to też nie raz z guzami przyszedł do swego gospodarza.

Ani we dworze ani we wsi całej nikt go nie poznał. Bywało, że i siostra sama często nad nim pastwić się kazała, Kazimirz wszelako był na to wszystko jakby bez słuchu i czucia. Siedm lat pracował w swej wiosce w wielkiej skromności i był wszystkim służącym prawdziwie budującym przykładem. Nikt się na niego nie oskarżył, bo on dogadzał wszystkim a nawet robił to, co było nad jego siły.

Wreszcie ciężką pracą stargawszy siły, wpadł w śmiertelną chorobę, woła tedy gospodarza do siebie i mówi:

— W nagrodę wiernych usług moich nie żądam niczego, tylko żebyście mi księdza sprowadzili, panie gospodarzu. Jedźcie na publiczny gościniec a pierwszego kapłana, którego tam nieomylnie napotkacie, przyprowadźcie do domu i proście, aby chorego zaopatrzył Jakoż zaledwie gospodarz wyszedł na gościniec zdybał zaraz księdza Dominika Podolca, jezuitę, którego zaprosił i do chorego przyprowadził.

Zaledwie ksiądz Dominik wszedł do izby, Kazimirz po łacinie wymienia jego imię i nazwisko, wita go najuprzejmiej a po spowiedzi przed nim uczynionej opowiada mu całe życie swoje, wszystkie czyny i nadmienia, jakich pociech niebieskich doznawał w ostatnim swym stanie. Potem na wszystkie świętości pod ciężarem wyrzutów sumienia prosił księdza jezuitę, aby zeznania jego, ani imienia i nazwiska nie wyjawiał, a po śmierci, żeby go pospolitym sposobem jako prostego wieśniaka na cmentarzu pochować kazał.

Ksiądz Podolec dochował ściśle obietnicy; zeznania Kazimirza przez całe swoje życie głęboko u siebie tail, aż dopiero

po jego śmierci rzecz tę własną jego ręką pisaną między papierami znaleziono i stąd o wszystkiem wiedzieć możemy.

Tak zakończył życie możny pan, zapomniany od wszystkich, ale nie zapomniany od tego, który nad nami panuje.

Cieszcie się gospodarze pięknym waszym stanem, w którym wam błogosławi ojciec niebieski, pracujcie zawsze szczerze a ż Kazimirza bierzcie sobie przykład że praca nie jest hańbą ale zacuością człowieka, za którą Bóg udziela pociechy w życiu. Pot i trudy — to droga do radości, więc się nie zrażajcie, ale pracujcie jak wam Bóg i kościół święty nakazał.

Józef z Bochni.

Ludy pasterskie.

Zajmujący się wyłącznie pasterstwem ludzie, jeden lub kilka rodzajów zwierząt użytecznych oswoili, wzięli je w swoją opiekę i hodowali starannie. Ta troskliwość o utrzymanie i rozmnażanie pielęgnowanych przez siebie zwierząt, ułatwiających sposób życia, rozróżnia ludy pasterskie od pokoleń trudniących się myśliwstwem i rybołowstwem. Według rodzaju domowych zwierząt jakoto: wielbłądów, koni, bydła, owiec, renów, kóz i trzody chlewnej, rozróżniają i samych pasterzy. Wybór zwierzęcia, a mianowicie dogodna mu siedziba, wielki wpływ wywiera na sposób życia, domowe zajęcia, a nawet na obyczaje ludu.

Wielbłąd nie w zbyt licznych zamieszkuje okolicach, najlepiej się udaje w ciepłej a suchej strefie i właściwem jest zwierzęciem na krawędziach i oazach *) pustyń Azyatyckich i Afrykańskich. Zaspakaja on wszelkie potrzeby swojego opiekuna; posiada bowiem wszelkie przymioty użytecznych zwierząt: dostarcza mleka jak krowa; okryty będąc włosem i wełną zdatną na nici, sznury, przędzę i tkaniny użyteczny jest jak owca; jest dogodnem jak koń zwierzęciem do dźwigania w drodze ciężarów, a jeszcze dogodniejszem w gorących, suchych okolicach, w podróży zaś na pustyni, żaden go zwierz

*) Oazy są to miejsca urodzajne i zamieszkane w pustyniach szczególnie Afrykańskich, są one niejako wyspami na morzu piaszczystem.

zastąpić nie zdoła. Łagodnym swoim charakterem, usłużnością i przywiązaniem do człowieka, zwrócił on uwagę na siebie, a jakby dla użytku ludzkiego był stworzony, sam jeden z pomiędzy wszystkich zwierząt, nie żyje nigdzie w stanie dzikości.

Jakkolwiek pustynia straszliwą jest dla blisko niej zamieszkałych ludzi, wielbłąd jednak czyni ją dostępną; ułatwia bowiem osiedlenie się w oazach i zakładanie osad na jej krawędziach. Szeroką nogą stąpa on po ruchomym piasku, a nie zapada w nim tak głęboko jak człowiek i koń; z wielkim zapasem wody w kilku swoich żołądkach, cały tydzień bez napoju obejść się nie może, i z potulnością owcy znosi upał dniowy i zimno bezchmurnej nocy, a rozważny jakby się obawiał wszelkiego nieużytecznego marnotrawienia swych sił, z wytrwałą cierpliwością równym krokiem przebywa olbrzymie przestrzenie od jednej do drugiej oazy Każda karawana bierze ze sobą kilku wielbłądów objuczonych jedynie wielkim zapasem wody i wszelkiego pożywienia dla ludzi i zwierząt. W ostatecznej zaś potrzebie, zabijają podróżni jednego wielbłąda, tę studnią chodzącą i ocalają życie ostatnią resztą wody pozostałej w jego żołądku.

Człowiek wszystkie jego składowe części na swój użytek obraca: mleko służy mu za pokarm, z grubszych i dłuższych włosów robi sznury, z cieńkiej zaś wełny corocznie na wiosnę jak z owiec wyczesywanej, wyrabia tkaniny; użytkuje z jego mięsa, skóry i kości, gnój jego nawet do utrzymania ognia przydatny. Wielbłąd jednak z natury swojej w ciepłych tylko okolicach żyć mogący, jako zwierzę domowe, w chłodniejsze strony człowiekowi towarzyszyć nie zdoła. Szczególniej przez Arabów hodowany, zaniósł ich wprawdzie na brzegi Morza Atlantyckiego; lecz gdy ci przeszli do Hiszpanii, wielbłąd z przyczyny chłodniejszego tu powietrza, w rodzinnej swojej pozostał ziemi, i jak gdyby jego panów szczęście od niego zawisło, pomimo zaciętych walk z Europejczykami, po niejakim czasie przez Hiszpanów ci najezdcy Mauritańscy pokonani, ustąpić z kraju musieli.

Zupełnem przeciwieństwem wielbłąda w ciepłym, suchym klimacie zamieszkałego, jest ren, to wielce użyteczne zwierzę,

w czasie długiej zimy w dalekiej północy. Obydwa zwierzęta w zupełnie odmiennych przebywają okolicach, między któremi w szerokim pasie umiarkowanego klimatu, innego rodzaju zwierzęta utrzymują się i pielęgnują. Tak wielbłąd jak i ren, przymusowo tylko w stolicach niektórych krajów w zwierzętarniach (menażeryach) są chowane, gdzie pierwszy w zimie a drugi w lecie niemało cierpią na zdrowiu. Na wolność puszczone pewnieby jedno na południe do swoich palm daktylowych pobiegło, a drugie na północ za ulubionym mchem stęsknione.

Ren w tem jest do wielbłąda podobny, że wszystkie potrzeby swego pana zaspokaja, ten bowiem karmi się jego mlekiem, do sanek go zaprzęga, z jego skóry nieprzemakającej ciepła odzież i obuwie sporządza, które zaszywa nicią ze ściągn jego zrobionych; mięso służy mu za posilny pokarm, a potrzebny w tak zimnej okolicy dla utrzymania ciepła i sił. Ojczyzna rena nie jest tak rozległym krajem jak wielbłąda, i Lapończyk wraz z swojem domowem zwierzęciem w tak niedostatniem przyrodzeniu żyć znaglony, swoich naturalnych zdolności dostatecznie rozwijać nie może. Nizkiej, krępej budowy ciała, jak i jego zwierzę i rośliny, które krótkie lato rozzielenia wprawdzie, ale owocowi dojrzeć nie dozwala, nie zostanie on przedsiębiorącym bohaterem, bo w szczupłym zakresie swych zajęć, od wygodniej żyjących sąsiednich ludów odcięty prawie, swojego wpływu poza granice swego kraju wywierać nie zdoła. Lecz jako pasterz na wyższem zostaje stanowisku, niż inne północne ludy, żyjące tylko z polowania i rybołowstwa.

Pomiędzy gorącem zamieszkaniem wielbłąda a zimnem rena, rozciąga się bardzo rozległa przestrzeń krajów mających podostatkiem koni, bydła, owiec, kóz i trzody chlewnej. Różnią się one od rena i wielbłąda większą łatwością przesiedlania się i przywykania do innych okolic, nie wszędzie jednakże znajdują dogodne dla siebie miejsce. Koń znosi wprawdzie gorąco i zimno, i jak bydło we wszystkich prawie częściach ziemi ludziom towarzyszy; trawą wszakże zarosłe obszary i stepy właściwą są jego siedzibą. Owce na małem pastwisku można ogrodzić; koza na sznurku do drzewa uwiązana, pasie

się w kółku na trawie; bydło przechodzi karmiąc się pod okiem pasterza pomiędzy zasianemi polami, ale stado koni potrzebuje rozległego pastwiska, żeby swobodnie na niem pobujać. Koń ma kopyto do suchej, miękkiej, równej ziemi stósowne; wyżyny Azyatyckie prawdopodobnie zdają się być jego pierwiastkową ojczyzną, i ciepły klimat Arabii i Persyi, gdzie najlepiej się udaje i do największej doskonałości dochodzi. Chętnie on jednak wybiega poza te granice i pod opiekuńczą ręką rozsądnego człowieka zmienia swoją właściwą sobie naturę, i w najrozmaitszych klimatach i okolicach, osiedla się bez trudności. Tym sposobem widzimy konia we wszystkich częściach świata licznie zamieszkałego, nawyka on do miejsca, do gorąca i zimna, a kopyta do wszelkich dróg po kamieniach, piaskach i śniegu stosownie ma urządzone.

Jakkolwiek Kałmucy, Mongołowie, Patagonowie i inne ludy jedynie chowem konia zajęci, mleka i mięsa tego zwierza na pokarm używają, i z włosa jego robią tkaniny, skórę jego garbują, a nawet i z kości użytek odnoszą; to przecież praca, zdolność do pociągu i dźwigania są największą z nich dla człowieka korzyścią; koń bowiem do udoskonalenia gospodarstwa i utrzymywania wszelkich z innemi ludami stosunków, najwięcej się przyczynia. Pielęgnowanie wszakże i utresowanie konia uczyniły go dopiero do najważniejszych usług sposobnym. Dzikie albo zdziczałe konie, tysiącami w Tataryi i południowej Ameryce swobodnie błąkające się, są po większej części małe, kudłate, z grubą głową i nieposkromione; koń zaś dobrze pod różnym względem wypielęgnowany, piękny, powolny a jednak śmiały, sprężysty, silny i szlachetny, zupełnie inną okazuje się istotą, niż jakiekolwiek innego rodzaju zwierzę.

Niektóre ludy tak się zespoliły ze swemi końmi, że nietylko jedną istotę z niemi składają, i co dawni pisarze Historyi wspominają o Hunnach, którzy na swych zwinnych, kudłatych koniach siedząc lub leżąc, wszelkie załatwiali sprawy, kupnem i sprzedażą się trudnili, jedli i pili, naradzali się i spali, to samo i dotąd dzieje się na stepach Azyatycktch i w Ameryce u ludów koczowniczych. Nie tylko w starożytności trwożliwa

wyobraźnia wystawiała sobie człowieka na koniu za jedną istotę (centaury), bo i ludy w Ameryce przy pierwszem spojrzeniu na Hiszpańskich zdobywców, konia i siedzącego na nim jezdcę, za zrośnięty potwór, chciwy ciała ludzkiego poczytywali.

Koń jest najsilniejszym, najgorliwszym i najwierniejszym sługą człowieka; pomaga mu w orce, sianiu, przy żniwie i młocce, służy mu do pociągu, windy obraca, pompuje wodę ze studni i szyb górniczych, wywozi rudę z kopalni, ściga wraz z panem zwierzynę, towarzyszy mu na wojnie i w najzaciętszej potyczce pomaga mu walczyć odważnie. Te liczne konia w zajęciach człowieka usługi, dały powód do tysiąca wynalazków, które w domowem i rolnem gospodarstwie, w handlu i pożyciu towarzyskiem wielkie zmiany zdziałały i dokonanie najświetniejszych czynów ułatwiły.

I owce, bydło, kozy i trzoda chlewna w ulubionych tylko przez siebie okolicach, lepiej się udają, niż na innych miejscach. Owca lubi korzenne suche pagórki podgórzy; koza pokrewna rodzaju sarny, kozicy i koziorozca jeszcze wyżej na góry wstępuje, zwłaszcza gdzie liściaste krzaki i drzewa, miłego jej dostarczają pokarmu. Trzoda chlewna przeciwnie przekłada ciepłe i obfite w wodę doliny, bo chętnie się kąpie, a nieprzestając na samej żołędzi i innych owocach drzew, podnosi miękką ziemię ryjem i wydobywa z niej korzenie i główkowate rośliny, robaki itp. Bydło lubi bujne pastwiska i na równinach rozrasta się w ciało i wysokość, a długie rogi szeroko rozkłada, ale i na pochyłe grzbiety gór trawą okryte wychodzi ochotnie, a wznosząc się aż do szczytów zielonych wyzyn, usłanych kobiercem korzennych traw, zmienia się tamże w krępy z krótkiemi rogami gatunek. Bydło, owce, kozy i trzoda chlewna na wielu miejscach w dolinach i na górach, na pastwiskach i w lesie spotykają się, i wszędzie zgodnie żyją ze sobą; dla tego i ludzie po większej części jednocześnie ich chowem się zajmują. Bydło i trzoda wygodnie może całą rodzinę pasterską mlekiem, serem i mięsem wyżywić. Ich skóry zwłaszcza wyprawne, futro i wełna służą na trwałą a stósowną odzież na miękkie łoże i na mocne a ciepłe obicia namiotów.

Wszystkie ludy pasterskie do niestałego a ustawicznie zmiennego znaglone są życia: nie tylko jednakże pasterze koni ale i hodujący kilka odmiennych zwierząt domowych, odbywają z niemi wędrówki, jakkolwiek w szczuplejszych granicach. Zwykle w lecie wstępują wyżej na góry, a na zimę wracają znowu do cieplejszych dolin zmieniając pastwiska, aby wypaszona na nich trawa tymczasem odrosła. Gdyby bowiem bydło, lub trzoda na jednem miejscu trawę aż do korzenia spożyła, to bez kunsztownej jej uprawy, zwierzęta wraz z ich pasterzem z głodu wyginąćby musieli. Tak więc pasterz na najrozleglejszych pastwiskach, nie jest wolnym od troski. Dzikie zwierzęta i zaraza, wielkie często spustoszenia w jego bydle i trzodzie zrządzają, mianowicie gdy w czasie posuszy, trawa od żaru słonecznego zniszczeje, a źródła i stumyki wyschną, wtedy głód i ostateczna zguba wszystkim zagraża.

Z wzrastającą coraz to bardziej ludnością, gdy i najrozleglejsze pastwiska przy rozradzającej się liczbie bydła i trzody dla nich nie wystarczają, i szczególne pokolenia w stałych granicach osiedlać się są znaglone, wtedy wkrótce uczują potrzebę dla uniknienia niedostatku, zajęcia się kunsztowną uprawą ziemi, i kopaniem studni, dla utrzymania siebie i zwierząt przy życiu. To zaś pobudza ich do stałego osiedlenia się, i tym sposobem z koczujących pasterzy powstają rolnicy.

Przestrogi i rady gospodarskie.

Baby. W wielu miejscach w wieśniaczych chatach, nie ustał jeszcze zwyczaj zatykania kominów tak zwanemi babami, czyli worami słomą wypchanemi. Łatwo w taki wór uwikłana iskra, zatlić go może, następnie sadze zapalić, i stać się pożaru przyczyną. Przezorna zatem gospodyni, bezpieczniejszego sposobu zamykania komina użyć powinna, a nie narażać siebie i sąsiadów na nieszczęście.

Różności.

Rumianek szczególniej włoski nie tylko dziko po polach rośnie, ale i w ogrodach znajduje dla siebie miejsce. Kwiat i liście mocny wydają zapach, i są silniejsze od pospolitego rumianku. Robią z nich olej i wyciąg, i wywożą je do Anglii, Rosyi i Ameryki, gdzie służą zamiast chmielu przy warzeniu piwa na użytek dla osady okrętowej. Psi rumianek jest uprzykrzonym chwastem; farbierski zaś rośnie na murach itp., kwiaty nadają wełnie kolor jasno-żółty. Rumianek pospolity kwitnie przez całe láto na polach. Jego kielichy kwiatowe szczególnym są środkiem leczniczym, i jako herbata używają się w kurczach, kolkach, bólu żołądka itp. z jak najlepszym skutkiem.

Herbata najpowszechniej w całej Europie używana, zwłaszcza w krajach wilgotnych; ułatwia ona transpiracyą, wzbudza działalność żołądka, i działa na nerwy, przezco może być i szkodliwą zdrowiu. — Herbatą w ogólności zowie się wszelkie nalanie ziół wrzącą wodą, przyczem nakrywa się naczynie aby nie parowało, i tak ma stać przez chwilę, dopóki w pół nie przestygnie.

Kanar, rodzaj trawy należącej do zbóż z kłosami; dziko rośnie w Sycylii, ale i u nas bywa uprawiany. Sieją go z początkiem wiosny, na dostatecznie sprawionym gruncie, i tak się z nim jak ze zbożem postępuje. Ziarno z tej rośliny otrzymane, bardzo lubią kanarki; wyrabiają także z otrzymanej zeń mąki, a z pszeniczną zmieszanej, chleb pożywny i smaczny.

Bukszpan jest drzewiasty i karłowaty, bardzo nizki. Obydwa rodzaje hodują w ogrodach. Drzewo bukszpanowe jest twarde i żółte i piękną przybiera politurę. W wodzie zatapia się; rzadko go toczą robaki; robią z niego flety i inne dęte instrumenta muzyczne, także tabakierki itp. I z korzenia odznaczającego się pięknemi słojami, otrzymujemy wiele drobnych i ładnych wyrobów. To drzewo rozmnaża się przez odcięte młode gałązki, a bukszpan karłowaty, przez rozdzielanie korzeni. Obydwa gatunki udają się w jakiejkolwiek ziemi, ale obok nich będącym roslinom, wiele zabierają pożywienia. W karłowatym chętnie przebywają ślimaki.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Łatwo się ten zbogaca, kto się skromnie obchodzi.

Targać się na mocnego, szaleństwem jest; zwycięztwem się nie ucieszy, a nędzę przymnoży.

Droga, która do cnoty prowadzi, długa i przykra; jednakże najciężej pierwsze wzgórki przebyć, gładzi się droga ku wierzchołkowi.

Głód wiernym jest towarzyszem gnuśnego; obmierzły on jest niebu i ziemi, a na wzór podłego trutnia, który żądła niema, tuczy się pracą roboczych pszczółek.

Doniesiono raz Chodkiewiczowi że nieprzeliczone zastępy nieprzyjaciół nadchodzą. Bohater ten, lubo garstkę tylko wojska z sobą prowadził, wziął się jednak zaraz po odebraniu tej wiadomości za szablę i rzekł: tem żelazem policzę ich należycie.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.